

# JARUZELSKI, HONECKER i inni



Wojciech Jaruzelski wita w Warszawie przywódcę NRD Ericha Honeckera przed obchodami 30-lecia Układu Warszawskiego. Okęcie, rok 1985.

FOT. WOJCIECH KRYŃSKI / FORUM

## TYGODNIK POWSZECHNY

31 stycznia 2010 nr 5 | Kraków  
DODATEK SPECJALNY  
„TYGODNIKA POWSZECHNEGO”  
Redakcja: Wojciech Pięciak, Patrycja Bukalska,  
Łukasz Kamiński

## Komuniści bez komunizmu

**UPADEK SYSTEMU  
POSTAWIŁ  
PRZED PARTIAMI  
RZĄDZĄCYMI  
EUROPĄ ŚRODKOWĄ  
PYTANIE O WYBÓR  
DALSZEJ DROGI.**

**NIELICZNI POZOSTALI WIERNI  
SKOMPROMITOWANEJ IDEOLOGII.**

**WIĘKSZOŚĆ POSTANOWIŁA  
PRZYSTOSOWAĆ SIĘ  
DO NOWYCH CZASÓW.**

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Dodatek powstał  
we współpracy  
z Instytutem  
Pamięci Narodowej



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

**J**ako pierwsza wyzwanie podjęła partia węgierska. Podczas przeprowadzonego w październiku 1989 zjazdu dokonano zmiany jej nazwy na Węgierską Partię Socjalistyczną; była to kulminacja procesu stopniowego odchodzenia od marksistowsko-leninowskich pryncypiów. W jej ślady podążyła PZPR, rozwiązując się 20 lat temu – na zjeździe w styczniu 1990 r. Aktywa partii przejęło najsilniejsze z powstałych na jej gruzach ugrupowań: Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej. Formacja rządząca w NRD już w grudniu 1989 r. dodała sobie przydomek „Partia Demokratycznego Socjalizmu”, aby potem całkowicie porzucić starą nazwę.

Przefarbowani na socjaldemokratów komuniści musieli przełknąć kilka gorzkich pigulek. Pierwszą był oczywiście proces rozpadu systemu i ujawnienia wszystkich jego zbrodni i nieprawości. Wszelkie próby znajdowania dla nich usprawiedliwień lub dobrych stron „realnego socjalizmu” początkowo skazane były na niepowodzenie. Drogim rozczarowaniem był bolesny proces kurczenia się partii. Mít ugrupowań masowych okazał się uludą. Do nowych formacji przechodziło w najlepszym razie kilka procent dotychczasowych członków. Trzecią kwestią były wyniki pierwszych wolnych wyborów: w żadnym ze wspomnianych państw postkomunistom nie udało się zdobyć zaufania więcej niż jednej dziesiątej wyborców.

### Zostać u władzy

Nie wszyscy jednak musieli doświadczyć tych rozczarowań. Początkowo ominęły one komunistów bułgarskich i rumuńskich. Stało się tak, gdyż nie stracili oni kontroli nad przebiegiem wydarzeń z lat 1989-90.

W Rumunii, mimo wybuchu zbrojnej rewolucji (a może właśnie dzięki temu), władzę przejął Front Ocalenia Narodowego. Jego trzon stanowili wojskowi i odsunięci przez Ceaușescu na boczny tor działacze partyjni. Dla zachowania pozorów do składu Frontu dołączono kilku opozycjonistów.

Szefem państwa został Ion Iliescu, który (zapewne z przyzwyczajenia) pierwsze przemówienie zaczął frazą „Szanowni towarzysze!”. Jego popularność, wykreowana sztucznie w czasie walk z niedobitkami zwolenników obalonego dyktatora, pozwoliła mu na objęcie urzędu prezydenta, a Front uzyskał większość w parlamencie. Dzięki temu, pozbywając się komunistycznej symboliki, znaczna część dawnej nomenklatury pozostała w władzy. Walka o pełną demokrację trwała jeszcze wiele lat, pociągając także ofiary śmiertelne.

W Bułgarii proces odsunięcia sprawującego dyktatorską władzę Todora Żiwkova starannie przygotowano. Głównymi „rozgrywającymi” byli członkowie Biura Politycznego Andrej Łukanow i Petyr Mladenow. Ten ostatni objął władzę po odsunięciu Żiwkova 10 listopada 1989 r. Co prawda, po tygodniu zaczęły się demonstracje, ale nie spowodowały odsunięcia komunistów (w kwietniu 1990 r. przemianowanych na socjaldemokratów) od władzy. Utrzymali ją do 1996 r.

Wskazać można dwa główne powody sukcesu komunistów bułgarskich i rumuńskich. Po pierwsze, w odpowiednim momencie inicjowali zmiany lub umiejętnie stanęli na ich czele. Po drugie, w obu państwach opozycja była niezwykle słaba, a terror policji politycznej, pogłębiający izolację opozycjonistów od społeczeństwa, wyjątkowo silny.

### Ortodoksi

Wyjątkowo potoczyły się losy komunistów czeskich i słowackich. Po utracie władzy partia pozostała przy dotychczasowej nazwie (zmiana jej części miała związek z federalizacją państwa). Komunistyczna Partia Czech i Moraw oraz Komunistyczna Partia Słowacji istnieją do dziś, co więcej, pierwsza z nich jest znaczącą siłą parlamentarną. Proces odpływu członków jest stopniowy i powolny. Stało się tak, chociaż obie (rozdzielone po rozpadzie państwa czechosłowackiego) organizacje odwołują się do komunistycznej symboliki i ortodoksyjnie trzymają się pryncypiów marksizmu-leninizmu; utrzymują

też kontakty z nielicznymi pozostałymi na świecie dyktaturami komunistycznymi. Komuniści czescy i słowaccy otwarcie bronią także swej tradycji i okresu, gdy sprawowali władzę. Już sama wizyta na ich stronach internetowych wywołuje uczucie „powrotu do przeszłości” (pomijając fakt, iż przed 1989 r. takich stron nie było).

Jak się wydaje, fenomen przetrwania tych partii w zakonserwowanej postaci związany jest przede wszystkim z faktem, iż w przedwojennej Czechosłowacji KPCz działała jako legalna siła polityczna, posiadająca reprezentację parlamentarną. W odróżnieniu od pozostałych państw, istniała więc pewna naturalna baza dla takiej działalności.

### Sukcesy postkomunistów

Po krótszym lub dłuższym okresie „kwarantanny”, polscy i węgierscy postkomuniści wrócili do władzy (również niemiecka PDS zaczęła odnosić sukcesy wyborcze). Było to efektem rozczarowania reformami, większej sprawności postkomunistów i rozbitcia niekomunistycznych sił politycznych. Wielu członków dawnej nomenklatury zamieniło, zgodnie ze znanym powiedzeniem, „czerwone legitymacje na książeczki czekowe”. Nie wielu przedstawicieli dawnego reżimu poniosło jakkolwiek odpowiedzialność za swe czyny. Dziś dawni komuniści są pełnoprawnymi uczestnikami debaty publicznej, coraz rzadziej wypomina się im przeszłość.

Pozostaje pytanie, czy po odejściu działaczy wychowanych jeszcze w okresie komunizmu i zaniknięciu łączących ich więzi, partie postkomunistyczne znajdują nie tylko nowe pokolenie zaangażowanych członków, ale i nową tożsamość. ♦

→ Dr ŁUKASZ KAMIŃSKI (ur. 1973) jest historykiem, dyrektorem Biura Edukacji Publicznej IPN i pracownikiem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Opublikował m.in. „Opór społeczny w Europie Środkowej w latach 1948–1953 na przykładzie Polski, NRD i Czechosłowacji”, „Wokół pogromu kieleckiego” (redaktor tomu).

**L**ata 80. to jeden z najciemniejszych okresów naszej historii. Sposób, w jaki z niego wyszliśmy – przez kompromis Okrągłego Stołu czy choćby przez prezydenturę Jaruzelskiego – podpowiada tropy interpretacji tego, co było przedtem. I nie chodzi tu wyłącznie o ukryte i nieznane nam sprężyny historii. Raczej o to, kim byliśmy jako społeczeństwo poddane presji stanu wojennego i nieznośnie długiej „normalizacji” po jego formalnym zniesieniu.

Siedem lat, które dzielą datę wprowadzenia stanu wojennego od realnej liberalizacji jesienią 1988 r., to epoka w życiu społeczeństwa. To czas odebranych nadziei, szarej codzienności – tak różnej od tego, co działo się za „żelazną kurtyną”. To triumf świata opartego na przemoc i kłamstwie, zwycięstwo mechanizmów łamania ludzi, wykorzystywania ich słabości, świadomego niszczenia naturalnych więzi. Z takiego okresu żadne społeczeństwo nie wychodzi bez szwanku.

Obok realizmu „geopolitycznego”, który w latach 80. mógł prowadzić do poszukiwania jakiegoś *modus vivendi* z rządzącymi, w kolejnej dekadzie powstał trudniejszy do zaakceptowania realizm „wewnętrznego rachunku sił”. Realizm uznający wpływy społeczne i realne zasoby postkomunistów po 1989 r. Uznający przetrwanie (w sensie społecznym) sporego odłamu opinii, ukształtowanego przez wydarzenia lat 80. – nie tylko propagandę, ale też osobiste doświadczenie.

#### Zapomniane miliony

Wiosną ubiegłego roku świętowaliśmy zwycięstwo z czerwca 1989 r., gdy 10 mln Polaków poparło kandydatów Solidarności (licząc najlepsze wyniki kandydatów do Senatu). Ale jakoś zapomnieliśmy, że równocześnie 7 mln Polaków głosowało wtedy inaczej: zapomniałiśmy o głosach oddanych poniekąd na Czesława Kiszcza. Skądś wreszcie wzięło się 5,3 mln Polaków, którzy w 1990 r., w pierwszych wyborach prezydenckich, głosowali przeciw kandydatom Solidarności. Wreszcie – to nie suma błędów Solidarności była jedynym czynnikiem dwukrotnego zwycięstwa prezydenckiego Aleksandra Kwaśniewskiego.

Dekada, której symbolem jest Jaruzelski, oskarża nie tylko jego. Podłość tamtego okresu ma dziesiątki tysięcy sprawców: milicjantów i dyrektorów szkół, komisarzy w mundurach i donosicieli, partyjnych dygnitarzy i ludzi, którzy tworzyli propagandową osłonę działań władz. Tej zbiorowej podłości, której byliśmy świadkami lub ofiarami, nie da się rozliczyć. Każdy pewnie pamięta porządną osobę po „tamtej stronie”. Ale nikt nie ma złudzeń, że była to większość.

Wielu tych porządną osobę wstydiło się swej przeszłości. Inni cynicznie zapomnieli o wszystkim w jeden wieczór. Właśnie ci ostatni do dziś pozostali „ludźmi Jaruzelskiego”, funkcjonariuszami wyższej konieczności, usprawiedliwiającej zarówno ówczesną nikczemność, jak też późniejszą – po 1989 r. – brutalną walkę o przetrwanie na możliwie najlepszych warunkach. Przekłada się to też na szersze fakty społeczne. Dziesięć lat po 13 grudnia, 53 proc. respondentów OBOP uznawało decyzję Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego za słuszną, jednak 51 proc. badanych opowiadało się za jakąś formą kary (32 proc. za publicznym potępieniem, a 19 proc. za odpowiedzialnością przed sądem). Znowu dziesięć lat później o słusznosci mówiło nadal 49 proc., ale za ukaraniem opowiadało się już tylko 42 proc. Co ciekawe, w 25. rocznicę stanu wojennego oba wskaźniki wróciły na stary poziom.

# SMUTEK, że dobro jest trudne



„To właśnie kultura musi poradzić sobie dziś z Jaruzelskim i dziedzictwem jego rządów...”.  
Na zdjęciu: scena ze spektaklu Teatru Dramatycznego w Wałbrzychu pt. „Był sobie Polak Polak Polak i diabeł”

## WIELU LUDZI ZAANGAŻOWANYCH W TWORZENIE GWARANCJI DLA PRL- OWSKICH ELIT BRONIŁO WŁASNEJ PRZESZŁOŚCI.

RAFAŁ MATYJA

#### Fatalistyczna warstwa historii

Wojna o ocenę stanu wojennego jest przegrana, choć w młodym pokoleniu grono adwokatów Jaruzelskiego jest już mniejsze. Szczęśliwie jeszcze mniejsza jest siła resentymentu, rozumianego w duchu Maxa Schelera: „smutku, wynikającego z tego, że dobro jest trudne”, owocującego niechęcią do tych, którym wyrządziliśmy krzywdę. Zdarzało mi się w ostatnim 20-leciu spotykać ludzi żywiących niechęć do Solidarności jako do nieuzasadnionego społecznego pragnienia, które należało zdławić w imię jakiejś rozumności. I nie spotkałem tak silnych emocji negatywnych u tych, którym internowano, którym zniszczono życie rodzinne.

Naiwnie mógłbym zadeklarować, że nie chcę podtrzymywać tamtego podziału. Ale on został podtrzymany mocą setek aktów politycznych i prawnych, mocą tysięcy tekstów i wypowiedzi. Historia ma swoją potoczność, swoje zwykłe „odczep się od generała” (rzucane przez Adama Michnika jednemu z moich rówieśników) i swoją głębszą warstwę: mechaniczną niemal logikę. To, co Stanisław Mackiewicz nazwał prawem wiel-

kich liczb, a co wydaje się mechanizmem dziejów, działającym poza wolą jednostek. Lub ledwie za ich wiedzą.

Jaruzelski jest dla mnie postacią z tej fatalistycznej warstwy historii. Jest brudnoszarzym cieniem, jaki rzucało na Polskę sowieckie imperium. Mało mnie interesują szczegóły tego cienia. Nie jest on tragicznym bohaterem, postacią dwuznaczną – tak mogę myśleć o Imre Nagyu czy pułkownikowi Kulińskim. Spodziewam się, że ludzka prawda o Wojciechu Jaruzelskim może być gorsza niż nasz dzisiejszy stan wiedzy. To, co wiemy o paranoi kremlowskich władców, nie pozwala być w tej sprawie optymistą. To nie był system, w którym najbardziej zaufany członek kierownictwa partii, w jednym z najbardziej niebezpiecznych krajów satelickich, może być materiałem na męża stanu.

#### Strategia na nowe czasy

Postać Jaruzelskiego to nie dziedzictwo samowolnej dyktatury, jak w przypadku Franco, za którą kryje się dramatyczna decyzja wynikająca z jakiejś politycznej kalkulacji. I choć w systemie komunistycznym także sami władcy są w pewnym sensie jego ofiarami, to chyba mam w sobie za mało humanizmu, by wyciągać z tego zbyt daleko idące wnioski. Jeżeli – w wymiarze psychologicznym, we własnej wyobraźni – Jaruzelski lub Kiszcza wybrali jakieś mniejsze zło, to wybór ten był konsekwencją wyboru zła większego, jakiego dokonali wcześniej i jaki potwierdzili swoją służbą w poprzednich dziesięcioleciach.

Najpoważniejszy argument, jaki pada w obronie Wojciecha Jaruzelskiego, to zatem nie ten, który broni decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego, ale ten, który wskazuje na pokojowe rozwiązanie konfliktu. Gdyby historia potoczyła się po myśli Jaruzelskiego i Kiszcza, gdyby można przypuszczać,

że ich kalkulacje miały na celu ewolucyjne przekazanie władzy – można by jeszcze z tego uczynić jakąś przekonującą doktrynę odkupienia uprzednich win.

Jednak nic na to nie wskazuje. Uruchomienie w końcu lat 80. strategii konfrontacji byłoby dla generałów samobójcze. Jaką formę rozmów z opozycją podpowiadał im zwłaszcza międzynarodowy kontekst ich rządów. Próbowali inaczej, zwlekali, kluczyli. Aż doszli do wniosku, że pożądany efekt legitymizacyjny może nastąpić jedynie za cenę rozmów z Wałęsą. Co więcej: sami na siebie założyli pułapkę kontraktowych wyborów; pełniąc błędy, utracili kontrolę nad sytuacją – na poziomie, który zakładali pod koniec roku 1988.

Ich upadek był wypadkową ciągu zdarzeń wewnętrznych i zasadniczej zmiany koniunktury międzynarodowej. W 1989 r. „socjalizm” trzeba było bronić, opierając się wyłącznie na własnych siłach i jeśli można – bez uciekania się do przemocy. Można było – w sensie osłonowym – straszyć. Można było stosować (i stosowano) przemoc na peryferiach negocjacji. Można było wreszcie postawić sobie za cel urządzenie się w nowych warunkach. Stworzenie pewnych reguł koegzystencji z niedawnym wrogiem, uspienia jego czujności, a zarazem zbudowania sobie i podwładnym realnych gwarancji bezpieczeństwa.

#### Polityka gwarantowanej bezkarności

Wielu ludzi zaangażowanych w tworzenie systemu takich gwarancji broniło własnej przeszłości. Inni – z przeciwnej strony barykady – tak właśnie wyobrażali sobie zobowiązanie zaciągnięte przy Okrągłym Stole. Jedni i drudzy korzystali przy tym z całkiem realnego społecznego zaplecza, wspierającego politykę „gwarantowanej bezkarności” – rozciąganej zresztą także na pierwsze lata po 1989 r.

Państwo stanu wojennego nie tylko nie zostało rozliczone, ale w zasadzie inkorporowano je do nowego porządku. Nie w sensie prawnym, ale realnym. Można rzec – materialnym. Polskie kłopoty z państwem – wynikające z naszej kultury, gospodarczej i intelektualnej słabości – miały zostać zwielokrotnione właśnie przez ową pokojową inkorporację. To, co stało się z samymi osobami Jaruzelskiego i Kiszcza, było tylko symbolem owej inkorporacji.

Jednak sprawa rozliczeń mogła być dokonana właśnie na tym symbolicznym poziomie. W początku lat 90. można było zakwestionować pozycję Jaruzelskiego i jego ekipy i w ten sposób naruszyć społeczne *status quo* postkomunizmu. Prawdziwe rozliczenie stanu wojennego i siedmiu kolejnych lat było jednak – ze względu właśnie na zakres społecznego uwikłania, na skutki systemowej przemocy – prawie niemożliwe.

Dzisiaj sprawa Jaruzelskiego przeniosła się do głębszej warstwy życia narodowego, na pole kultury. Traci w wymiarze bezpośredniej polityki, doraźnych rozgrywek. Zyskuje jednak – wraz z całą epoką lat 80. – niezwykle istotny wymiar. To właśnie kultura – a nie polityka czy badania naukowe – musi poradzić sobie z Jaruzelskim i ponurym dziedzictwem jego rządów. Przemilczana, trudna dla nas wszystkich epoka powinna stać się elementem narodowej samowiedzy, a nie wypieranym z pamięci doświadczeniem. ◆

→ RAFAŁ MATYJA (ur. 1967) jest politologiem i historykiem. W latach 80. działał w opozycji, m.in. w Ruchu Młodej Polski. Autor książek, m.in. „Państwowość PRL w polskiej refleksji politycznej lat 1956–1980”. W 2009 r. ukazały się „Konserywatyzm po komunizmie” i „Państwo, czyli kłopot”.

**PIOTR OSEKA:**

NIE BYŁO UKŁADU: „WY NAM ODDACIE WŁADZĘ, A MY WAM GWARANTUJEMY, ŻE NIC SIĘ WAM NIE STANIE”.

► Roman Graczyk: Rozmawiamy o tym, czy rozwiązanie PZPR, w styczniu 1990 r., było „momentem historycznym” – okazją, żeby dokonać politycznego przyspieszenia. Ale najpierw sprawy ogólniejsze. Premier Mazowiecki wziął PZPR do rządu jako de facto jednego z koalicjantów, choć formalnie była to koalicja: ZSL-SD-OKP. Czy zgodzicie się Panowie, że było to w istocie bardzo sprytnie polityczne zagranie? Takie, które można by porównać do manewru Mitterranda w 1981 r., który wziął do rządu, w ramach ówczesnej lewicowej koalicji, komunistów. To pogrzyżyło ich i w konsekwencji wyeliminowało z głównego nurtu polityki francuskiej. Czy takie porównanie jest uprawnione?

DR PIOTR OSEKA: Paralela z Francją '81 wydaje mi się zbyt daleka. Nie wiem, czy Mazowieckiemu chodziło o kompromitowanie polityków PZPR. Myślę, że jednym z czynników za włączeniem PZPR do koalicji był lęk. Solidarność ciągle straszono wizjami tego, co się może stać, a czemu tylko Jaruzelski, kontrolujący resorty siłowe, może zapobiec. Jego panowanie nad wojskiem było elementem szerszej międzynarodowej gry: nie należało drażnić Związku Radzieckiego, żeby nie miał poczucia, iż traci kontrolę nad swoimi strategicznymi interesami. RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ: W moim przekonaniu rozwiązanie PZPR nie było przełomowym momentem. Partia sypała się już przez całe lata 80. i w tym momencie, jako siła rządząca, już praktycznie nie istniała.

Ostatni zjazd PZPR w sensie prawnym był nielegalny, bo nie zdołano dochować wymogów formalnych podczas dużej części zebrań w terenie, gdzie wybierano delegatów. Nie było na nich wymaganego statutu partii quorum. Po szoku czerwcowych wyborów PZPR się po prostu rozbiegła. Mam żal do Mazowieckiego, że tego faktu nie wykorzystał – bez żadnych jakobińskich ustaw mógł wykazać, że zjazd był w świetle jej własnego statutu nielegalny, w związku z tym majątek, który przez kilkadziesiąt lat PZPR ukradła narodowi polskiemu, wraca do prawowitego właściciela.

P. O.: Nie było tak, że delegaci byli wybierani przy całkiem pustych salach. Gdzieś zdarzało się, że ich było za mało, i wtedy robiono inną formułę, np. spotkania konsultacyjnego, jednak większość tych zebrań się odbywała. Natomiast wątpliwe prawnie było to, że w ostatniej chwili zaczęto dopisywać do delegatów odpowiednią liczbę robotników, przodujących ślusarzy itd., żeby się zgadzał rytuał.

Narzekania na to, że się partia rozpada, że nie ma odpowiedniego kręgosłupa ideowego, są już w materiałach kontroli partyjnej, które śledziłem, od lat 60. Mimo wszystko do wiosny 1989 r. PZPR była najistotniejszą siłą, Biuro Polityczne KC było centrum, gdzie zapadała większość decyzji. Najlepszy dowód, że w czerwcu po przegranych wyborach oni się martwią, jak to powiedzieć plenum KC, jak obronić twarz przed tzw. „twardą bazą”, czyli członkami Komitetu Centralnego.



Aleksander Kwaśniewski z jedną z delegatek, ostatni zjazd PZPR, Warszawa, 1990 r.

WOJCIECH DRUSZCZ/REPORTER

**RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ:**

OPEROWANIE ARGUMENTEM LEGALIZMU PRAWNEGO WOBEC PRL-U JEST BEZ SENSU, PONIEWAŻ CAŁY PRL BYŁ NIELEGALNY

łem, byłem głupi”. Ja 20 lat temu byłem wrażliwy na ten argument, że nie możemy w nowej Polsce tworzyć dwóch kategorii obywateli. A dziś też myślę, że byłem głupi, że to nie oznaczałoby odebrania praw obywatelskich, lecz wyrównanie szans, np. partie startujące w wyborach mają mniej więcej tyle samo pieniędzy. A może to premier Mazowiecki miał rację?

P. O.: Mnie bardziej odpowiadałby argument pozytywizmu prawnego. Jeśli odsunąć, to kogo? Czy wszystkich członków PZPR? Czy nomenklaturę? Aparatczyków? Od jakiego poczawszy szczebla? W jaki sposób odsunąć, na mocy jakiego rozporządzenia prawnego? Czy takie rozporządzenie ma szansę zostać przegłosowane w ówczesnym parlamencie? W sprawie majątku PZPR mówi się o zaniedbaniach ze strony rządu Mazowieckiego, ale w styczniu 1990 r., kiedy te sprawy się ważyły, to projekt OKP, który miał być głosowany, został odrzucony właśnie głosami tej starej odradzającej się koalicji SD-ZSL (a właściwie już PSL „Odrodzenie”).

R. A. Z.: Operowanie argumentem legalizmu prawnego wobec PRL-u jest, moim zdaniem, bez sensu, ponieważ cały PRL był nielegalny. Jest mitem, że trzeba by było stworzyć trybunał rewolucyjny, stosować prawo wstecz, co by spowodowało jakiś jakobinizm, potem szubienice, a na końcu faszystowską dyktaturę – to wszystko są urojenia ludzi oszalałych w walce politycznej. Sprawców komunistycznych zbrodni i przestępstw można było osądzić natychmiast, z kodeksem karnym PRL-u w ręku.

Argument etyczny też jest wątpliwy. Już tutaj ustaliliśmy, że samo istnienie paktu z komunistami jest wątpliwe, bo – jak Pan powiedział – nigdzie nie ma podpisanego dokumentu, w którym za oddaną bezkrawawo władzę opozycja gwarantuje komunistom bezkarnie. Wiemy jedynie z wypowiedzi premiera Mazowieckiego, że jakaś rozmowa na ten temat była w momencie rozwiązania PZPR. Istniała przecież wtedy możliwość stworzenia sytuacji, w której to Tadeusz Fiszbach, a nie Leszek Miller z Aleksandrem Kwaśniewskim, byłby spadkobiercą PZPR. Wystarczyło zabrać SdRP majątek i w porę stworzyć ustawę o partiach politycznych. Wydaje mi się, że taka ustawa mogłaby przejść przez tamten Sejm, gdyż lojalność posłów wobec klubu PZPR była zachwiana. ♦

DYSKUSJĘ PROWADZIŁ ROMAN GRACZYK

● Zapis dyskusji, która odbyła się w Klubie Pod Jaszczurami w Krakowie, 13 stycznia 2010 r. Całość dostępna w wydaniu internetowym „TP”.

→ Dr PIOTR OSEKA (ur. 1973) – pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN, jest historykiem dziejów najnowszych, specjalizuje się m. in. w dziejach Marca 1968, ostatnio wydał: „Rytuały stalinizmu” (Warszawa 2007).

→ RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ (ur. 1964) jest publicystą, pisarzem science fiction i felietonistą, współpracownikiem „Rzeczpospolitej” i portalu Interia.pl, ostatnio wydał „W skrócie” (Lublin 2009) i powieść „Walc Stulecia” (wzn. Lublin 2010).

# Rozsypka

► Premier Mazowiecki w licznych debatach nad bilansem jego rządu powtarza trzy zasadnicze argumenty. Pierwszy, geopolityczny i wewnątrzpolityczny. Drugi, który nazywam argumentem kupieckiej solidności, *pacta sunt servanda*: zobowiązaliśmy się, więc dotrzymujemy. Trzeci argument jest etyczny: budujemy nowy ustrój, w którym nie tworzymy obywateli I i II kategorii. Który z tych argumentów jawi się Panom jako ważny i wiążący do dzisiaj?

R. A. Z.: Te trzy argumenty wydają się wymyślone ex post. Najpierw zapadła decyzja, a potem wymyślało się do tego uzasadnienia. Argument *pacta sunt servanda* w odniesieniu do komunistów, którzy nigdy nie dotrzymywali paktów, jest słaby.

Także argument geopolityczny mnie nie przekonuje. Wiemy, że pewne negocjacje między Rosją a Ameryką były już w 1984 r. Nie jest tak, że Jaruzelski z Kiszczakiem prowadzili jakąś grę niezgodzoną z Sowietami. Raczej wierzę Urbanowi, który we wspomnieniach pisze, że kiedy krótko po wyborach referowali towarzyszom radzieckim, na jakim są etapie, strona radziecka wszystko już wiedziała, i odniósł wrażenie, że „radziecy” byli już po rozmowie z tymi, którzy władzę przejmują, że – to interpretacja samego Urbana – postawili im swoje warunki i wiedzieli, że będą one spełnione.

Uważam, że generalowie zdołali wciągnąć przywódców opozycji w taką psychologiczną grę: my jesteście odpowiedzialnymi ludźmi i wy jesteście odpowiedzialnymi ludźmi, więc razem musimy się przeciwstawić wariatom, którzy chcą doprowadzić do jakiegoś wybuchu. My mamy swój beton, wy macie rozmaitych radykałów, musimy ściśle współpracować: my pacyfikujemy ten beton, wy pacyfikujecie radykałów, którzy mogliby doprowadzić do powstania, interwencji sowieckiej. Całkiem niedawno, w noworocznym „Przeglądzie” ukazał się wywiad z Karolem Modzelewskim, który właściwie tę hipotezę potwierdza, tylko innymi słowami.

P. O.: Spotkania w Magdalence: od września 1988 do kwietnia 1989 r., są dobrze opisane źródłowo. Notatki sporządzały i strotna kościelna, i – niezależnie od tego – partyjna. I te notatki nałożone na siebie się zgadzają. Okazuje się, że tam nie było żadnego dealu. Opozycja przystępowała do Okrągłego Stołu, żeby uzyskać legalizację Solidarności, a w zamian za to godziła się wziąć udział

w wyborach. Nie było takiego układu: wy nam oddacie władzę, a my wam gwarantujemy, że nic się wam nie stanie. Jeśli już mowa o jakimś zobowiązaniu, to zostało ono konsekwentnie złamane przez fakt objęcia stanowiska premiera przez Mazowieckiego.

Dwa czy trzy lata później w wywiadzie Jacka Żakowskiego („Żakowski pyta, Geremek odpowiada”) Geremek mówił, że wówczas uważano, iż partia jest już śmiertelnie rannym zwierzęciem, krwawi, wlecze się do swojej gawry, żeby tam zdechnąć, i nie ma co jej teraz drażnić, bo jeszcze się odwinie. Próba przypierania jej do muru może tylko pogorszyć sytuację. Zapominamy często o tym, że rząd Mazowieckiego przystępował do innego fundamentalnego zadania: cały system gospodarczy się walił, inflacja była tak rozkręcona, że kraj wpadał w spiralę, która mogła się zakończyć tym, iż nie będzie z czego płacić pensji, emerytur – to było zadanie pierwszoplanowe.

R. A. Z.: Nie wiemy po dwudziestu latach, czy istniały, i jakie, negocjacje na linii Kreml – polska opozycja. Dokumenty z ambasady PRL w Moskwie, które mogły to wyjaśnić, zniknęły w latach 90. Zachował się jedynie ten cytowany przez Antoniego Dudka w jego książce „Reglamentowana rewolucja” szyfrogram, z którego wynika, iż Jaruzelski z Kiszczakiem z dużym przerażeniem dowiedzieli się z Moskwy, że pod pozorem festiwalu filmowego, jako osobę towarzyszącą Andrzejowi Wajdzie przywódcy radzieccy chcą zaprosić do Moskwy Adama Michnika.

Wbrew mitowi, który powstał później, nie było tak, że w łonie Komitetu Obywatelskiego w 1990 r. były dwie opcje: albo dorznąć komunistów i przeprowadzić pełną rewolucję, albo się z nimi nadal dogadywać. W ogóle nie było opcji dożyniania komunistów, bo nie było kadry, by ich szybko zastąpić. Spór, w moim przekonaniu, był taki: czy rozmawiać z tymi komunistami, z którymi zaczęliśmy (z Jaruzelskim i Kiszczakiem), czy – jak w Rumunii – wykreować sobie nowych komunistów, nowych partnerów. Myślę, że z takim właśnie pomysłem pojawił się wtedy przy uchu Wałęsy Jarosław Kaczyński. Jaruzelski z Kiszczakiem mogliby zostać odsunięci przez jakąś grupę pułkowników, mówiąc umownie, i to by rozbiło spójność obozu komunistycznego, poddało go nowej władzy.

► Dostałem przed naszym spotkaniem e-maila: „trzeba było dobić ich osikowym kołkiem, wtedy tak nie myśla-

## KOMUNISTYCZNA PARTIA CZECH I MORAW ZGARNIA W WYBORACH PO KILKANAŚCIE PROCENT GŁOSÓW.

ALE NIGDY NIE WESZŁA DO KOALICJI RZĄDOWEJ, NIKT Z NIĄ NAWET NIE NEGOCJOWAŁ. CZESCY KOMUNIŚCI, KTÓRZY JAKO JEDYNI W EUROPIE ŚRODKOWEJ NIE USUNĘLI PRZYMIOTNIKA „KOMUNISTYCZNA” ZE SWEJ NAZWY, SĄ W PRÓŻNI: SKAZANI NA OPOZYCJĘ.

PATRYCJA BUKALSKA

**K**ryzys finansowy i gospodarczy, rozkradziony majątek państwa, korupcja, bezrobocie, rosnąca przestępczość, utrata suwerenności (po wejściu do NATO), bezwzględność w stosunkach międzyludzkich i tylko jeden cel: zysk, zysk za wszelką cenę – tak sytuację w Republice Czeskiej widzą tamtejsi komuniści w 20 lat po Aksamitnej Rewolucji.

Na stronie internetowej Komunistycznej Partii Czech i Moraw można przeczytać szereg takich przygnębiających podsumowań minionych dwóch dekad. „Tak, kupić dziś można naprawdę prawie wszystko, tylko zwykłą ludzką uczciwość – nie. Tej na półkach sklepowych nie ma” – wzdycha Věra Flasarová. Jej kolega, były przewodniczący KSČM Miroslav Grebeníček jasno wskazuje winnego: jest nim były prezydent Václav Havel, który „stał się przykładem człowieka wykorzystującego swe stanowisko i korzystającego ze specjalnych przywilejów”.

### W politycznej izolacji

Jak wynika z sondażu z grudnia 2009 r., taką smutną wizję kraju dzieli z komunistami przynajmniej kilkanaście procent Czechów: w zbliżających się wyborach parlamentarnych KSČM może liczyć na prawie 16 proc. głosów. Czyni ją to trzecią siłą w czeskiej polityce (po socjaldemokracji z 29 proc. poparcia i prawicowej ODS z 23 proc.).

Nie jest to jednak wiadomość sensacyjna. Tak już w Czechach jest. Komuniści nie-



Członkowie Komunistycznej Partii Czech i Moraw na pochodzie pierwszomajowym. Praga, rok 2007.

# ORTODOKSI

zmiennie zgarniają w wyborach po kilkanaście procent, ale nigdy nie udało im się dojść do władzy, nie negocjowano z nimi ani nie współpracowano. Jedynie w 2002 r., gdy zbliżyli się w wyborach do 20 proc., udało im się obsadzić stanowisko wiceprzewodniczącego Izby Poselskiej. Za czasów prezydentury Havla byli szczególnie izolowani: nie zapraszał ich przywódców nawet na spotkania z szefami partii. Niewielki przełom nastąpił paradoksalnie, gdy na Hrad wprowadził się Václav Klaus, uważający się na czołowego antykomunistę. To zresztą głosy komunistów pomogły mu wygrać wybory (prezydenta wybiera parlament).

Komuniści czescy są w próżni: cieszą się poparciem, ale dotąd żadna inna partia nie zdecydowała się na koalicję z nimi w parlamencie (w samorządach, owszem, współpraca z komunistami się zdarza).

### „Zwieńczenie czeskiej historii”

Mocne wyniki wyborcze komunistów w Czechach są ewenementem w Europie Środkowej. W większości krajów partie komunistyczne ewoluowały we wszelakie-

go rodzaju ugrupowania lewicowo-socjaldemokratyczne. Tymczasem partia czeska jest tą samą partią, która rządziła przed 1989 r. Wprawdzie w 1990 r. doszło w niej do przeobrażenia, ale tylko organizacyjnego: zmiany struktury partii na federacyjną (wylonił się podmiot czeski, KSČM; podmiot słowacki, KSS, istniał już wcześniej). Niewiele zmieniło się w programie; jej członkowie dalej tytułują się „towarzyszami”, a wrogiem dalej są NATO i kapitalizm. Nadal trzymają się też przymiotnika „komunistyczna” w nazwie. Jednocześnie czeska ustawa dekomunizacyjna z 1991 r., zakazująca szerzenia ideologii komunistycznej, nie odnosi się do KSČM, gdyż formalnie nie jest ona spadkobiercą Komunistycznej Partii Czechosłowacji i została zarejestrowana jako partia nowa.

Ale też silna pozycja komunistów ma w Czechach korzenie historyczne. Już pod koniec XIX w. Czechy były krajem wysoko uprzemysłowionym, jednym z najbogatszych regionów monarchii austro-węgierskiej. Przemysł rozwijał się w średniej wielkości miastach, zlokalizowanych wo-

kół ośrodków przemysłowych. Przykładem Kladno, na zachód od Pragi: miasto dziś stutysięczne, w całości zogniskowane wokół huty i stalowni (założonej w 1889 r. przez Karla Wittgensteina, który nazwał ją Poldi, na cześć żony Leopoldiny).

W takich ośrodkach powstawały już wtedy robotnicze społeczności, w których rzecz jasna rodził się też ruch robotniczy, jak w całej Europie Zachodniej. Początkowo był to ruch socjaldemokratyczny. Partia komunistyczna powstała dopiero za czasów I Republiki Czechosłowackiej, z rozpadu socjaldemokracji na dwa skrzydła: umiarkowane i radykalne. Radykalowie założyli Komunistyczną Partię Czechosłowacji, afiliowaną w Moskwie i zrzeszającą prócz robotników także spore środowiska wpływowych artystów i intelektualistów. Partia przetrwała międzywojenne dwudziestolecie jako formacja legalna, parlamentarna. Na przełomie lat 20. i 30. doszło w niej do przewrotu: rządy przejęła grupa tzw. Chłopców z Karlina, pod wodzą młodego działacza Klementa Gottwalda. W partii odsunięto na bok nurt intelektualistów i artystów, którzy komuni-

## Człowiek „normalizacji”

### GUSTÁV HUSÁK,

WIELOLETNI LIDER CZECHOSŁOWACJI, PRZESZEDŁ DO HISTORII JAKO UOSOBNIENIE SCHYLKOWEGO „TWARDOGŁOWEGO” KOMUNIZMU.

Jeśli ktoś w Polsce o nim mówi, zwykle wymienia go jednym tchem z liderami NRD Erichem Honeckerem i Bułgarii Todorom Żiwkowem, którzy, podobnie jak on, nie chcieli nawet iść śladem pierestrojki Gorbaczowa – niemającej przecież obalić system, ale go ratować przez ograniczone reformy – i podobnie jak Husák, musieli w ogóle odejść jesienią 1989 r. Jednak życie i ideologiczne manewry Husáka były bardziej skomplikowane, niż biografie tej dwójki. Urodzony na Słowacji w 1913 r., z komunizmem związał się jako nastolatek – w czasach, gdy ruch był modny w Europie Zachodniej i kojarzył

się tu z postępem, wyzwoleniem społecznym itp. Żyjąc w międzywojennej Czechosłowacji, mógł Husák w tę iluzję wierzyć bardziej niż młodszy od niego Alexander Dubček, którego rodzice dobrowolnie wyemigrowali w latach 20. do ZSRR – i choć widzieli tamte realia, pozostali wierni ideologii. Husák był komunistą, a także słowackim „patriotą”. Mniej liczny z dwóch głównych narodów Federacji, od początku dopominał się o więcej praw. Tak było przed wojną, tak było po wojnie. Samą wojnę i czasy profaszystowskiej Słowacji przeżył Husák w Bratysławie, związany z komunistyczną konspiracją. W 1944 r. brał udział w Słowackim Powstaniu Narodowym, z powodu czego po wojnie miał tylko kłopoty: towarzysze z Pragi uznali ten zryw za podszyty słowackim nacjonalizmem. W 1951 r. Husák został aresztowany i skazany na dożywocie za „odchylenie burżuazyjno-nacjonalistyczne”. Jako jeden z nielicznych nie przyszedł do niczego (mimo tortur). Wyszedł w 1960 r. – i znów piął się po szczeblach kariery. W latach 1967-68 był jednym z najbliższych współpracowników Dubčeka, ikony Praskiej Wiosny. 20 sierpnia 1968 r., na kilkanaście godzin przed inwazją Układu Warszawskiego, wygłosił radykalną mowę, w której oskarżał przywódców komunistycznych ze Słowacji o blokowanie reform Dubčeka. Gdy wojska Układu wkroczyły do kraju, wśród

słowackich komunistów powstała inicjatywa podpisywania antydatowanego listu, w którym „zapraszali” ZSRR do udzielenia „bratniej pomocy”. Husák ostro przeciwstawił się pomysłowi i wezwał słowacką partię, by zachowała wierność Dubčekowi. Sowieci wywieźli kierownictwo Komunistycznej Partii Czechosłowacji (KSČ) do Moskwy; potem dołączyli do tego grona prezydent Svoboda i Husák. I prawdopodobnie tam Husák zmienił front. Zyskał zaufanie Leonida Breżniewa, przywódcy ZSRR, i w kolejnych latach zajmował coraz wyższe stanowiska: został I sekretarzem partii, a w 1975 r. prezydentem Czechosłowacji. Pod jego kierownictwem trwał proces, który on nazwał „normalizacją”: czystki w partii i aparacie państwa, fala emigracji, tępienie wszelkich niepokornych. Do ludowego języka przeszło jego ponoć oryginalne powiedzenie, że robi to, by „zwykłym ludziom” zapewnić „spokój potrzebny do pracy”. Jesienią 1989 r. pod naciskiem demonstracji mianował rząd porozumienia narodowego. 10 grudnia 1989 r. przestał być prezydentem; wkrótce urząd ten zajmował Havel. Zmarł w 1991 r., podobno przed śmiercią nawróciwszy się na katolicyzm. Na jego pogrzeb przyszedł demonstracyjnie jeden z jego więźniów, Ján Čarnogurský. Był to już czas pęknięcia Czechosłowacji i dla wielu Słowaków Husák stawał się symbolem walki o ich prawa. **PATRYCJA BUKALSKA**

zmu uczyli się w czasie wyjazdów do Berlina i Paryża. Dominować zaczął ortodoksyjny nurt stalinowski.

Gottwald kierował partią do śmierci w 1953 r.; stał na jej czele w 1948 r., gdy komuniści przejęli pełnię władzy. Sami prezentowali się wtedy jako logiczne zwieńczenie czeskiej historii, której jądrem miał być antyniemiecki, antykatolicki, plebejski, słowiański husytyzm. Komunizm i orientacja na Rosję (ZSRR) miały być naturalną konsekwencją tej tradycji. Manipulując tak historiografią, komuniści ukształtowali uproszczoną wersję czeskiego nacjonalizmu.

### Wiekowa „partia protestu”

Minęły lata, ale mity te są nadal w Czechach silne. Komuniści z jednej strony skupiają środowiska ludzi niezadowolonych, zagubionych w nowej rzeczywistości. Z drugiej – to nadal najbardziej radykalna wersja czeskiego nacjonalizmu: antyniemiecka, antyamerykańska. Zarazem są komuniści „partią protestu”: nigdy nie rządzą i z wygodnych pozycji od 20 lat krytykują wszystko, co się da.

Jej problemem jest starzenie się elektoratu. Jak piszą autorzy wydanej właśnie książki „1989 – Jesień Narodów”, „rocznie KSČM traci 6-7 proc. członków, nie zyskując nawet 1 proc. Jak wyliczono, codziennie ubywa jej 16 osób, a przeciętny wiek towarzyszy przekroczył 70 lat (ponad dwie trzecie stanowią emeryci)”. Przedstawiciele młodszych generacji o poglądach lewicowych skutecznie przyciąga partia socjaldemokratyczna.

Jej istnienie – obok silnej pozycji twardogłowych komunistów – jest kolejnym czeskim ewenementem. Czeska Partia Socjaldemokratyczna (ČSSD) to także formacja o korzeniach przedwojennych. Zlikwidowana po przejściu władzy przez komunistów w 1948 r., została reaktywowana po Aksamitnej Rewolucji. To między nią a pracowniczą ODS toczy się w Czechach walka o władzę.

Niejednokrotnie już dumano nad możliwością koalicji dwóch ugrupowań z lewej strony parlamentu, ale socjaldemokraci nigdy na jawny sojusz z komunistami się nie zdecydowali: obowiązuje ich uchwała z 1995 r., kiedy to na swym zjeździe socjaldemokraci zadeklarowali, że z komunistami nie będą współpracować (interpretowane jest to jako współpraca na płaszczyźnie centralnej; do współpracy w samorządach już się nie odnosi). Głównym powodem jest obawa przed utratą społecznego poparcia. Niewykluczone jednak, że przy sprzyjających warunkach socjaldemokrati spróbują utworzyć rząd mniejszościowy, przy wsparciu komunistów.



W tym roku Czechy czekają wybory parlamentarne. Co będzie z komunistami? Pewnie to, co dotychczas. A co potem? Raczej się nie zreformują. Choć nie sposób wykluzyć, że do ich praskiej siedziby przy ulicy Więźniów Politycznych zawita kiedyś nowe pokolenie lewicowych rewolucjonistów.

Na pewno nie zostaną zdelegalizowani – taką propozycję zgłosił jesienią 2009 r. jeden z senatorów. Jak jednak uznali eksperci ministerstwa spraw wewnętrznych, KSČM nigdy nie wiązano z lewicowym ekstremizmem, a poglądy głoszone przez jej przedstawicieli – choć krytyczne wobec sytuacji w kraju i nawołujące do zmian – mieszczą się w granicach prawa. A przede wszystkim: likwidacja ugrupowania, które od niemal 20 lat funkcjonuje w parlamencie i cieszy się poparciem, byłaby raczej oznaką słabości demokracji niż jej siły. ♦

# KWESTIA

## wiarygodności

► **WOJCIECH PIĘCIAK: Co stało się z partią komunistyczną rządzącą Węgrami? KRISZTIÁN UNGVÁRY:** W przeciwieństwie do innych partii komunistycznych w krajach „bloku wschodniego”, na Węgrzech „partia państwowa” sama dokonała własnej transformacji w partię demokratyczną i przeprowadziła demontaż dyktatury. Proces ten rozpoczął się już w połowie lat 80. Węgierscy komuniści doszli do wniosku, że bez takiej transformacji dotychczasowa elita polityczna, czyli oni sami, prędzej czy później straci definitywnie szansę na pozostanie u władzy. Z moralnością czy wewnętrznym przekonaniem do demokracji i praworządności miało to niewiele wspólnego. Za to bardzo wiele z pragmatyzmem.

► **Korzenie obecnej Partii Socjalistycznej mają jakieś znaczenie dla jej odbioru w społeczeństwie? Czy dochodzi do tak emocjonalnych debat, jak np. w Polsce spór o postać Jaruzelskiego?** Wreszłość komunistyczna nie jest dziś na Węgrzech tematem krytycznej debaty, niestety. Jedynie okres między rokiem 1945 a 1962 postrzegany jest jednoznacznie jako czas zbrodniczej dyktatury [na początku lat 60. na Węgrzech zakończył się okres represji po powstaniu z 1956 r. i władze zaczęły wprowadzać zmiany w systemie gospodarczym, które doprowadziły do tego, że poziom życia na Węgrzech był aż do lat 80. wysoki w porównaniu z innymi krajami „bloku” – red.]. Ponieważ znaczna część społeczeństwa postrzega okres po roku 1989 jako gorszy, patrząc z osobistego, materialnego punktu widzenia, efekt jest taki, że postać Jánosa Kádára – tego, który odpowiadał za krwawe represje po powstaniu z 1956 r., a potem wprowadzał tzw. gulaszowy socjalizm – jest dość popularna. A socjaliści uważają się za prekursorów demokracji.

► **Na Węgrzech, o ile mi wiadomo, ludzie rządzący przed 1989 r. nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Czy jakąś rolę odgrywał tu przebieg węgierskiej transformacji, gdzie nie było oddolnej „pokojuowej rewolucji”, jak np. w NRD?**

Rezultatem węgierskiej transformacji był rodzaj konsensusu, zakładający, że nikt nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności. Zmierzające w tym kierunku projekty ustaw zawsze były odrzucane przez parlament. Próby ukarania sprawców przestępstw i zbrodni sprzed 1989 r. miały miejsce tylko w tych przypadkach, gdy jakiś czyn był przestępstwem w myśl prawa obowiązującego przed rokiem 1989 i przestępstwo takie się nie przedawniło. W praktyce dotyczy to jedynie masowych egzekucji niewinnych cywilów w roku 1956. Ale również i te procesy stały się farsą: oskarżeni twierdzili, że musieli

### KRISZTIÁN UNGVÁRY, HISTORYK WĘGIERSKI:

PARTIA SOCJALISTYCZNA  
ASPIRUJE, ABY BYĆ „DZIEDZICEM”  
IDEI IMRE NAGYA,  
PRZYWÓDCY POWSTANIA Z 1956 R.  
RÓWNOCZEŚNIE SOCJALIŚCI  
PIELĘGNUJĄ POLITYCZNĄ  
SPUŚCIZNĘ JÁNOSA KÁDÁRA,  
MORDERCY NAGYA.

wykonywać rozkazy albo wychodzili obroną ręką z uwagi na zły stan zdrowia.

Poza tym, osądzenie komunistycznych elit okazało się niezwykle trudne również dlatego, gdyż wszystkie nowe partie, powstałe po 1989 r., zintegrowały w swych szeregach jakąś część tych elit. A socjaliści mogli chwalić się tym, że to przecież oni sami wprowadzili demokrację. Ludzie rządzący przed rokiem 1989 nie mają w ogóle świadomości winy. Gyula Horn, minister spraw zagranicznych w latach 1989-90, a potem premier w latach 1994-98 oraz Miklós Németh, premier z lat 1988-90, a w latach 90. wiceprezes Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, byli i są na Zachodzie gośćmi chętnie widzianymi i cenionymi. W ogóle jest tak, że „Zachód” postrzega postkomunistyczne elity jako swojego partnera, co również nie ułatwia osądzenia działalności tych ludzi przed rokiem 1989.

► **W 1989 r. na Węgrzech ogromną rolę w kształtowaniu się nowej tożsamości odgrywało przypomnienie powstania z 1956 r. Traf chciał, że niemal równocześnie, bo w lipcu 1989 zmarł János Kádár, a kilkanaście dni wcześniej, w czerwcu, w Budapeszcie odbył się z udziałem kilkuset tysięcy ludzi potworny pogrzeb przywódców powstania z 1956 r., straconych po jego upadku. Niektórzy historycy twierdzą, że dla Węgrów był to zarazem swego rodzaju symboliczny pogrzeb poprzedniego systemu. Czy przynajmniej „rok 1956” był przedmiotem jakiegoś osądu, także formalno-prawnego?**

Jak już wspominałem, nie udało się osądzić nawet ludzi odpowiedzialnych za zbrodnie popełniane podczas tłumienia powstania z 1956 r. i podczas popowstaniowych represji. Jeśli na Węgrzech można mówić o jakimś rozliczeniu z komunizmem, to jedynie o tym mającym charakter badań historycznych. Bo jeśli idzie o węgierską rewolucję z 1956 r., to ukazało się na ten temat bardzo wiele prac.

Znamienne, że Partia Socjalistyczna ma dość szczególny stosunek do 1956 r., nie wałbym się powiedzieć: komiczny. Z jednej strony socjaliści aspirują do tego, aby być „dziedzicami” idei Imre Nagya, przywódcy komunistycznego, który w 1956 r. stanął na czele powstania i został stracony po jego upadku. A z drugiej strony, ci sami socjaliści pielęgnują polityczną spuściznę Jánosa Kádára: człowieka, który był ni mniej, ni więcej tylko mordercą Nagya.

► **A jak węgierscy socjaliści oceniają w ogóle okres przed rokiem 1989? Wracając jeszcze do roku 1956: Gyula Horn powiedział kiedyś, że była to „wojna domowa”, mimo że wtedy walczyli węgierscy powstańcy z Armią Radziecką, a walk węgiersko-węgierskich praktycznie nie było. Jak taką narrację historyczną ocenia społeczeństwo?**

Słowa Horna wpisują się w tę absurdalną interpretację roku 1956, o której mówiłem. Gyula Horn, rocznik 1932, użył takiego sformułowania po to, aby legitymizować swoją własną biografię i własne wybory życiowe. W rzeczywistości powstanie z 1956 r. na żadnym etapie nie było wojną domową. Z jednej strony mieliśmy garstkę kolaborantów, współpracujących z armią sowiecką i z władzami na Kremlu, a po drugiej stronie 99 proc. społeczeństwa. W tamtym czasie Gyula Horn służył jako ochotnik w zbrodniczej organizacji pomocniczej, utworzonej przy komunistycznej policji państwowej; jej członków zwano popularnie „kufajkami”, od tego sowieckiego ubioru. Horn nigdy nie okazał jakiegokolwiek poczucia winy z tego powodu. To polityczno-historyczna schizofrenia, gdy ktoś taki jak Horn mówi o „wojnie domowej” w 1956 r., aby potem chwalić Imre Nagya jako jedną z postaci tworzących rzekomo tradycję Partii Socjalistycznej, a na koniec sam siebie określa mianem przekonanego demokraty.

Największa partia opozycyjna, Fidesz, też nie jest lepsza. W jej najwyższych gremiach jest wielu zidentyfikowanych już konfidentów służby bezpieczeństwa sprzed 1989 r. Konfrontowani z faktami, zaprzeczają i próbują się wybielać, czasem w sposób niebywały. Nic dziwnego, że na Węgrzech zarówno socjaliści, jak też ich najwięksi przeciwnicy polityczni stają się coraz mniej wiarygodni i nowa ultrapravicowa partia Jobbik jest coraz bardziej popularna. ♦

ROZMAWIAŁ WOJCIECH PIĘCIAK

→ KRISZTIÁN UNGVÁRY (ur. 1969) jest historykiem, autorem szeregu książek o dziejach Europy Środkowej XX w., z których „Bitwa o Budapeszt” (w latach 1944-1945) stała się bestsellerem nie tylko na Węgrzech, ale także na Zachodzie. Jest też uznanym winiarzem: ma dwuhektarową winnicę pod Tokajem, a jego wina zdobywały liczne nagrody.

# NAPRZÓD, *ku zapomnieniu*

**C**o roku Berlin ogląda ten sam przedziwny rytuał. Co roku w drugą niedzielę stycznia ulicami maszeruje szczególnie pochód: starzy komuniści, nostalgicznie wspominający kraj, który zniknął 20 lat temu, ramię w ramię z młodymi karierowiczami. Kierunek: Zentralfriedhof Friedrichsfelde; stary cmentarz, głęboko we wschodniej części miasta. Pielgrzymują, by złożyć hołd przed kamieniem nagrobnym z napisem „Umarli napominają żywych”, poświęconym dwojgu założycielom Komunistycznej Partii Niemiec, zamordowanym w 1919 r.: Karlowi Liebknechtowi i Róży Luksemburg.

Gdy istniała komunistyczna NRD, w drugą niedzielę stycznia maszerowały tak setki tysięcy – dobrowolnie albo i nie – dając posłuch wezwaniu partii: „Auf zu Karl und Rosa!” (Do Karla i Róży, marsz!). Szli też w tym roku, choć w skromniejszej liczbie może trzech tysięcy. Gdy partia wzywa, starzy towarzysze nie obawiają się śniegu i mrozu. Rozdają czerwone goździki. Grają orkiestry, pobrzmiwają stare pieśni.

Partia nazywa się dziś „Die Linke”. Partia Lewicy. Albo: ta Lewica, jedyna prawdziwa lewica w Niemczech, jak sugeruje rodzajnik „die”, typowy dla języka niemieckiego; trudno przekładalna gra słów. Partia Lewicy: rezultat kolejnych politycznych mutacji – od komunistycznej SED (Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, której nazwę w PRL tłumaczono nieprawidłowo na: Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności, obawiając się chyba, z jakim odbiorem wśród Polaków może spotkać się „jedność Niemiec” w nazwie „bratniej” partii). Potem, po 1989 r., był etap PDS, Partii Demokratycznego Socjalizmu, istniejącej realnie tylko w byłej NRD. I wreszcie Partia Lewicy: ogólnokrajowe już zbiorowisko, powstałe z połączenia PDS z różnymi środowiskami z Niemiec Zachodnich, które ciągle zdają się wierzyć w socjalizm. Jesienią 2009 r. Partia Lewicy uzyskała w całym kraju swój najlepszy wynik wyborczy: 12,2 proc. głosów; wprowadziła do Bundestagu 76 posłów.

## Operacja „Przetwanie”

Rządy SED nad wschodnioniemieckim społeczeństwem, trwające niemal dokładnie 40 lat, załamały się wraz z upadkiem muru berlińskiego. Gdyby stało się to, czego 20 lat temu domagały się setki tysięcy, miliony demonstrantów, SED zniknęłaby z powierzchni ziemi, w hańbie i wstydzie. Ale tak się nie stało. Wprawdzie stare kierownictwo musiało odejść, a część tego grona trafiła na lawę oskarżonych, a potem, przynajmniej niektórzy, do więzienia (głównie za rozkaz, na mocy którego do ludzi uciekających z NRD strzelano tak, by zabić). Sam Erich Honecker, wieloletni szef SED, został oskarżony; gdy jednak okazało się, że ma raka, decyzją polityczną pozwolono mu wyemigrować do rodziny w Chile, gdzie zmarł.

Ale jego stara-nowa partia przetrwała upadek NRD i społeczno-polityczne wstrząsy w zjednoczonych już Niemczech – na pozór, jakby cudem. „Fakt, że SED po jej upadku nie została zakazana bądź rozwiązana – jak NSDAP w 1945 r. czy KPZR w 1991 r. – ciągle jeszcze, choć minęło tyle czasu, musi budzić zdumienie” – pisze historyk Hubertus

## URATOWALI SIĘ, PRZETRVALI 20 LAT, A DZIŚ CORAZ CZĘŚCIEJ MYŚLĄ O POWROCIE DO WŁADZY.

CO SIĘ STAŁO Z IDEOLOGICZNYMI SPADKOBIERCAMI ERICHA HONECKERA?

### JOACHIM TRENKNER

Knabe w książce „*Honeckers Erben*” [Spadkobiercy Honeckera].

Uratowali ją ludzie z drugiego szeregu dawnej SED. Tacy, jak obrotny adwokat Gregor Gysi, przez zawiadujący aktami tajnej policji Urząd Gaucka/Birthler uznany za konfidenta Stasi. Albo szef SED w Dreźnie i premier NRD na przełomie 1989 i 1990 r. Hans Modrow, którego 20 lat temu uważano naiwnie za partyjnego „liberała” (po zjednoczeniu Modrow zostanie skazany za fałszowanie wyborów komunalnych wiosną 1989). Albo prezentujący się jako jowialny naukowiec Lothar Bisky. Oni organizowali „Operację Przetwanie”, demagogicznym sprytem i znajomością technik władzy zapewniając starej-nowej partii przejście z dyktatury do demokracji.

### Majątek, towarzysze!

Pierwsza próba dostosowania się do nowych okoliczności miała miejsce już w miesiąc po upadku muru: 8 grudnia 1989 r. w hali sportowej berlińskiego klubu Dynamo spotkało się 2700 delegatów. Wielu przedstawicieli „terenu” domagało się rozwiązania partii. Spotkali się z kontrakcją funkcjonariuszy. „Nie pozwólcie partii się rozlecieć, nie pozwólcie jej utonąć. Oczyszćcie ją i wzmocnijcie” – apelował Modrow patetycznie. A cwany prawnik Gysi, za kulisami namaszczony już na przyszłego przewodniczącego, malował w czarnych barwach zagrożenia, jakie niesie rozwiązanie SED i zakładanie nowej partii. Przecież na bruk trafi 44 tys. (sic!) etatowych funkcjonariuszy aparatu – argumentował, zaznaczając mimochodem, że w razie tworzenia partii od zera

powstanie problem z zachowaniem potężnego majątku SED.

Dyskusja trwała całą noc, aż w końcu zdecydowana większość zagłosowała za trwaniem partii; liderem został Gysi. Tydzień później zjazd zebrał się raz jeszcze i podjął decyzję, by starą nazwę uzupełnić o nowy człon. Tak powstała SED-PDS: Socjalistyczna Partia Jedności Niemiec – Partia Demokratycznego Socjalizmu. Na koniec towarzysze zaśpiewali tradycyjną niemiecką pieśń robotniczą: „*Vorwärts und nicht vergessen*”. „Maszerujmy naprzód, nie zapominając o przeszłości”. Czy zgrzytnęło im w ustach słówko „nie”? Bo linia partii brzmiała odtąd: maszerujmy naprzód, zapominając o przeszłości. Zaczynało się fałszowanie historii w wielkim stylu. Fakt, czym była niedawno SED, zniknął z przemówień i świadomości członków SED-PDS.

Stopniowo zniknął także pierwszy człon nazwy – nie tylko ze świadomości działaczy, ale także opinii publicznej wschodnich landów. Pozostała PDS: rodzaj wschodnioniemieckiej partii regionalnej. Jako taka znalazła się w Bundestagu. Ratując także część majątku, zagarniętego przed 1989 r. przez SED. Ratowanie nie zawsze dokonywało się metodami legalnymi. Ile miliardów wyciekło dziwnymi „kanałami”, tego nie udało się nigdy ustalić. W każdym razie spadkobiercy SED uchodzą dziś za partię majątną, w przeciwieństwie do innych formacji.

Finansowo więc nie tylko kampanie wyborcze, ale też szereg instytucji dających zatrudnienie starym-nowym kadrom. Np. Fundacja Róży Luksemburg – wzorująca się na fundacjach zbliżonych do CDU, SPD, FDP, CSU i Zielonych – próbuje prezentować się jako poważna instytucja naukowo-intelektualna. W istocie wielu

jej „naukowych” pracowników zdobywało szlify w Partyjnej Szkole Wyższej im. Karola Marksa przy Komitecie Centralnym SED. Z majątku partyjnego utrzymywana jest też tzw. Platforma Komunistyczna, niemal stalinowska „organizacja pozioma” (lider Platformy, elokwentna Sarah Wagenknecht, zdobyła dziś frakcję Lewicy w Bundestagu). Subwencje utrzymują przy życiu prasowe organy, „*Neues Deutschland*” i „*Junge Welt*”, które nawet nie zmieniły nazw, a dziś prezentują się jako media radykalno-lewicowe.

### Druga szansa socjalizmu

Dwa lata temu wschodnioniemiecka PDS połączyła się z nowo powstałą zachodnioniemiecką WASG (Inicjatywa Wyborcza na rzecz Pracy i Sprawiedliwości Społecznej). Pod nazwą Partia Lewicy, stara-nowa formacja zakorzeniła się nareszcie także w zachodnich landach. Były przewodniczący SPD Oskar Lafontaine (opuszczył socjaldemokrację po konflikcie z ówczesnym kanclerzem Gerhardem Schröderem) stał się ikoną ogólnoniemieckich „socjalistów” – jak teraz chcieliby być nazywani. Obok niego partii przewodzi Gysi i Bisky, dawni ludzie SED.

Rozszerzenie partii na Zachód wymagało paru retuszy. Zdytansowano się więc od budowy muru berlińskiego, a także od stalinizmu; w programie Lewicy czytamy teraz: „Nieodwołalne zerwanie ze stalinizmem jako systemem należy do fundamentów Partii Lewicy”. Ciekawsze jest chyba jednak to, czego w programie nie ma. „A nie ma w nim ani zdytansowania się od marksizmu i leninizmu, ani też wyraźnej akceptacji dla demokracji parlamentarnej typu zachodniego” – uważa historyk prof. Manfred Wilke. W istocie partia nie zerwała z teoretycznymi filarami NRD, z tzw. realnym socjalizmem, argumentuje Wilke, krytykuje jedynie praktyczną realizację tego „eksperymentu na ludziach”, próbując zarazem twierdzić, że sama teoria była słuszna. Inaczej mówiąc: celem Partii Lewicy zdaje się być danie socjalizmowi drugiej szansy.

Zmarły w minionym roku socjolog Ralf Dahrendorf prorokował już w 1990 r., że musi minąć 60 lat, zanim w byłej NRD uformuje się społeczeństwo obywatelskie. Punktem wyjścia do tej konstatacji był wynik dodawania: czas trwania na tym obszarze najpierw dyktatury brunatnej i potem czerwonej, pesymistycznie zaokrąglony w górę. Z tym tylko, że w obecnych wschodnich landach ta druga pozostawiła głębsze ślady: pod jej rządami żyć musiały trzy pokolenia.

Represyjny charakter swych rządów przed 1989 r. komuniści z NRD próbowali ukryć za hasłami antyfaszyzmu, pokoju i sprawiedliwości – z niemałym sukcesem, także u niektórych Niemców z Zachodu. Relatywnie silna frakcja Partii Lewicy w Bundestagu jest dziś tego dowodem. Podobnie jak fakt, że spadkobiercy Honeckera dziś coraz częściej myślą o powrocie do władzy w Berlinie: gdyby koalicja Angeli Merkel poniosła klęskę, opozycyjnym dziś socjaldemokratom i Zielonym raczej nie uda się stworzyć we dwójkę rządu: do większości zabraknie im głosów, będą potrzebować Partii Lewicy. Jeśli tak się stanie, będzie to największy pośmiertny triumf Niemieckiej Republiki Demokratycznej. ♦

PRZEŁOŻYŁ WP

Erich Honecker, 1989 r.



3 października 1990 r. – w dniu zjednoczenia Niemiec – w berlińskiej prokuraturze powołano specjalną komórkę: „Arbeitsgruppe Regierungskriminalität”, „Grupę roboczą ds. przestępczości na szczeblu rządowym”. Cztery lata później, by usprawnić pracę, utworzono na jej bazie osobny urząd. Prokuratorzy ci wykonali gigantyczną pracę – przeprowadzili tysiące śledztw, dotyczących przestępstw popełnianych przez aparat władzy, polityków, urzędników, sędziów, prokuratorów itd. Ale nie tylko oni zajmowali się prawnokarnym rozliczeniem NRD: podobną pracę wykonywano w landach.

Myliłby się jednak ten, kto twierdziłby, że to „Niemcy z Zachodu osądzali Niemców ze Wschodu”. Taką tezę stawiali nie tylko postkomuniści, pojawiała się też w Polsce: o tym, że „to Niemcy z Zachodu lustrują Niemców ze Wschodu”, mówił publicysta „Gazety Wyborczej” Paweł Wronski (w radiowej „Trójce” 12 maja 2007 r.), i nie tylko on.

Oczywiście, zniknięcie NRD jako państwa sprzyjało rozliczeniom. Ale standardy tego, co Niemcy nazywają *Aufarbeitung* w odniesieniu do przeszłości nazistowskiej i komunistycznej (to „rozliczenie”, ale rozumiane szeroko, nie tylko jako procesy karne, ale też proces polityczny i społeczny), ustalono przed 3 października 1990 r. Dokładnie: jesienią 1989 r. i w roku 1990, gdy – o czym się zapomina – od marca NRD miała, po raz pierwszy i ostatni, parlament wybrany w wolnych wyborach i demokratyczny rząd.

Już na przełomie 1989/90 r. walczący o ocalenie NRD (jeszcze) komunistyczny rząd Hansa Modrowa dał zielone światło prokuraturze – którą jeszcze niedawno ścigała opozycję – dla aresztowania usuniętych wcześniej prominentów. Modrow liczył, że uwiarygodni to jego ekipę. W 1990 r. zatrzymano nawet na krótko Ericha Honeckera, byłego I sekretarza SED, ale szybko wypuszczono; trafił do domu opieki, potem uciekł do Moskwy, wrócił do Niemiec, gdzie postawiono mu zarzuty, a gdy okazało się, że ma raka, za zgodą rządu Kohla wyjechał do krewnych w Chile, gdzie zmarł. Prócz Honeckera do aresztu trafili wówczas na pewien czas m.in. Erich Mielke (b. szef tajnej policji Stasi) i b. premier Willy Stoph (zarzut korupcji).

Po zjednoczeniu postępowania stały się bardziej systematyczne, ale ich podstawa prawna pozostała: podstawą do ścigania NRD-owskiej dyktatury był kodeks karny NRD. Zadecydowano tak, uznając, iż karalność powinna odpowiadać prawu, które istniało w chwili popełnienia czynu. Tak zapisano w Układzie Zjednoczeniowym; zapropo-

# Przywódcy przed sądem

**OSĄDZANIE DYKTATURY W NRD ZACZEŁO SIĘ W 1989 R., ZANIM NIEMCY SIĘ ZJEDNOCZYŁY.**

**CHOĆ W KOLEJNYCH LATACH – W WYNIKU 65 TYS. ŚLEDZTW PRZECIW STU TYSIĄCOM PODEJRZANYCH – ZA KRATY TRAFIŁO TYLKO KILKASET OSÓB, ZGROMADZONO OGROMNY MATERIAŁ DOKUMENTUJĄCY BEZPRAWIE SYSTEMU.**

**WOJCIECH PIĘCIAK**

nował to demokratyczny rząd NRD. Zasada – uznająca, mówiąc obrazowo, że w b. NRD nie będzie „drugiej Norymbergi” – trwała kilka lat, po czym zaryfikował ją Trybunał Konstytucyjny RFN (o czym poniżej).

Pytanie, jak osądzać NRD, długo wywoływało dyskusje. Ich przedmiotowość podważyło to, co stało się 12 listopada 1996 r.: Trybunał Konstytucyjny RFN wydał wtedy orzeczenie w sprawie skargi trzech członków Rady Obrony NRD, skazanych na więzienie. Argumentowali oni, że działali zgodnie z prawem. Trybunał uznał, że powoływanie się na prawo NRD nie może być usprawiedliwieniem, gdy w grę wchodzi odpowiedzialność za „szczególnie ekstremalne bezprawie”, naruszające podstawowe prawa człowieka, do których przestrzegania NRD się zobowiązała na forum międzynarodowym. A takim „ekstremalnym bezprawiem” były wg Trybunału wydane przez skarżących rozkazy „unicestwienia” (cytat) każdego obywatela uciekającego na Zachód, gdyby aresztowanie go nie było możliwe.

Do praw człowieka jako zasad stojących ponad prawem państwa totalitarnego Trybunał odwołał się też później: gdy uznał, że

ściganie sędziów i prokuratorów, którzy łamali powszechnie uznane prawa człowieka, nie narusza zasady, iż prawo nie działa wstecz. W 1998 r. Trybunał wypowiedział się w sprawie skargi byłej sędziny, skazanej na więzienie. Przewodniczyła ona składowi, który orzekał w sprawach politycznych i w 1982 r. wymierzyła 8 lat pewnemu matematykowi za rozprowadzanie ulotek i czasopism wydanych w RFN. Rok później skazała na wieloletnie więzienie parę małżeńską i taksówkarza; chcieli wyemigrować i nawiązali kontakt z przedstawicielstwem dyplomatycznym RFN w Berlinie Wschodnim – co sędzina uznała za szpiegostwo. Orzekając tak, „w sposób oczywisty złamała prawa człowieka” (w sprawie matematyka) i „przekroczyła dopuszczalną interpretację ustawy” (w dwóch pozostałych) – tak w 1995 r. sąd w Berlinie uzasadniał wyrok, skazujący ją na 21 miesięcy więzienia. Wniosła ona skargę do Trybunału, argumentując, że działała w ramach prawa – i przegrała.

Po 1989-90 r. ścigano różne rodzaje przestępstw. Procesy wytaczano prominentom z kierownictwa państwa i partii, oskarżonym o odpowiedzialność decyzyjną za zabójstwa na granicy (doliczono się tysiąca zabitych w latach 1949-89; najstarsza ofiara miała 86 lat, najmłodsza rok). Skazano tu kilkanaście osób na więzienie; najwyższy wyrok to 7,5 roku. Skazano też kilkudziesięciu żołnierzy straży granicznej, oskarżonych o zabicie uciekiniera. Dalej: sędziowie i prokuratorzy łamiący prawo (wymiar sprawiedliwości podlegał też lustracji; konfidentów Stasi zwalniano). Ścigano też fałszowanie wyborów, korupcję i szpiegostwo (ścigani mogli być tylko obywatele RFN, którzy pracowali dla Stasi).

Bilans wymiaru sprawiedliwości był następujący: prokuratury wszczęły ok. 65 tys. postępowań przeciw ok. 100 tysiącom podejrzanych. Ogromną większość spraw zakończono umorzeniem (np. z powodu przedawnienia). Do sądów skierowano akty oskarżenia w niespełna tysiącu przypadków; połowę oskarżonych skazano, zwykle w zawieszeniu.

Odpowiedzialności za swe czyny, w czasie gdy był szefem tajnej policji Stasi, uniknął słynny Erich Mielke. Wprawdzie został ska-

zany w 1993 r. na 6 lat więzienia (odsiedział 2/3 kary, zwolniono go w sierpniu 1995 r. z powodu choroby; wkrótce zmarł), ale wyrok dotyczył udziału w zabójstwie dwóch berlińskich policjantów w 1931 r., gdy był on bojówkarzem komunistycznym. Za NRD sądzony nie był – uznano go za niezdolnego do udziału w postępowaniu z powodu stanu zdrowia. Egon Krenz, w 1989 r. następca Honeckera w roli przywódcy NRD, a wcześniej członek władz, dostał 6 lat i 6 miesięcy więzienia jako współodpowiedzialny za śmierć uciekinierów. Odsiedział cztery lata.

Przyczyn powściągliwości w kierowaniu spraw do sądów i ferowaniu wyroków było kilka. Niemiecki wymiar sprawiedliwości jest w ogóle liberalny, zwłaszcza gdy z ławy oskarżonych słyhać, że to „osąd zwycięzców nad zwycięzonymi” (*Siegerjustiz*). Rolę odgrywał wiek oskarżonych. Problemy pojawiały się też ze zdefiniowaniem i udowodnieniem przestępstwa w myśl kodeksu NRD. Natomiast eks-opozycjoniści krytykowali, że to z powodów politycznych ściga się tak łagodnie, bo klimat polityczny temu nie służy.

Niemniej, skutkiem postępowania było – co przyznawali też ci, którzy krytykowali ich łagodność – i to, że dzięki nim zgromadzono ogromną wiedzę o funkcjonowaniu i zbrodniczym charakterze systemu, ona zaś trafiła do społeczeństwa za sprawą mediów i historyków. Przykładowo, postępowanie przeciw dziewięciu byłym prokuratorom, oskarżonym o to, że złamali prawo NRD prowadząc działania wymierzone w dysydenta Roberta Havemanna, trwało siedem lat, a skończyło się jedynie dwoma niskimi wyrokami (w zawieszeniu). Ale miało duże znaczenie historyczno-edukacyjne: postępowania przed kolejnymi instancjami umożliwiły dokładne przesłedenie mechanizmów, wedle których funkcjonował aparat NRD, gdy chciał zorganizować proces polityczny.

Mówiąc o III Rzeszy, Hannah Arendt użyła określenia, że był to „zorganizowany brak odpowiedzialności”. Podobnie było w NRD: po 1989 r. łatwiej było osądzić żołnierza, który zabił uciekiniera, niż decydentów. Okazało się, znowu, jak trudne jest osądzenie dyktatury w państwie prawa, i jak trudno oddać sprawiedliwość jej ofiarom. Niemniej, w Niemczech ściganie przestępstw z czasów NRD okazało się bodaj najbardziej konsekwentne i systematyczne w Europie Środkowej. Jeśli ktoś protestuje dziś przeciw tezie, że NRD była *Unrechtsstaat* (państwem opartym na bezprawiu), czyni to nie z niewiedzy, ale z innych motywów – politycznych bądź biograficznych. ♦

## NOWE KSIĄŻKI

### Z godziny na godzinę

Dlaczego Czesi lubią papierosy „Sparty”, czemu rozpuszczalne kakao to dla nich „Granco”? Dlaczego kółka wątrobiania Honeckera odegrała rolę w polityce? Odpowiedzi nie szukalibyśmy raczej w książce naukowej. A jednak: „1989 – Jesień Narodów” trójki autorów (Adama Burakowskiego, Aleksandra Gubrynowicza i Pawła Ukielskiego) to pasjonująca opowieść, podsumowująca upadek komunizmu w Europie Środkowej, Bułgarii i Rumunii. To też prawdopodobnie pierwsza w Polsce książka pozwalająca w tak wyczerpujący (i przystępny) sposób porównać przemiany w krajach (post)komunistycznych.

Jak się okazuje, nawet w historii krajów sąsiednich – zdawałoby się dobrze opisanych, jak Czechy i Niemcy – jest wiele spraw u nas słabo znanych, a na poznanie zasługujących. Choćby dynamicznie opisane przez Ukielskiego negocjacje, które pozwoliły na zajęcie przez Havla stanowiska prezydenta Czechosłowacji już w grudniu 1989 r. Wiele uwagi książka poświęca Bułgarii i Rumunii, w Polsce niezbyt znanym. Tymczasem opowiedziana przez Burakowskiego, zmieniająca się z godziny na godzinę sytuacja w Bukareszcie 22 grudnia 1989 r. to niemal polityczny thriller.

Co nadaje tej książce smaku, to odniesienia do szeroko pojętej sfery kultury: za komunizmu i dziś. Dlaczego w Czechosłowacji produkowano takie, a nie inne komedie? Jakie filmy o upadku reżimu Ceaușescu powstały w Rumunii w ostatnich latach? Zara-

zem „1989 – Jesień Narodów” spełnia wymagania warsztatu naukowego, bogatego w dokumenty i źródła.

Od upadku komunizmu minęło 20 lat i przyzwyczailiśmy się traktować to jako zwykły punkt w historii. Czasem warto przypomnieć sobie, jak wyglądała środkowoeuropejska rzeczywistość przed 1989 r. i jak obalano totalitarne reżimy – nie było to proste, a zaskakujące bywało nawet dla opozycji, np. tej w NRD, która pogubiła się politycznie po otwarciu granicy z RFN. Po takiej lekturze – można odetchnąć z ulgą i z pobłażaniem przyglądać się współczesnym politycznym „wojnom”.

**PATRYCJA BUKALSKA**

● Adam Burakowski, Aleksander Gubrynowicz, Paweł Ukielski „1989 – Jesień Narodów”, Wydawnictwo Trio 2009.

# Fenomen czterech milionów

**P**o tym, jak przez kilka poprzednich dni narastał chaos, po tym, jak kolejne wydarzenia (zapoczątkowane demonstracją w Timișoarze 17 grudnia, do której ogień otworzyło wojsko i tajna policja Securitate) cechowała coraz bardziej niepokojąca nieprzejrzystość i coraz brutalniejsza przemoc (potem okaże się, że w grudniu 1989 r. zginęło ok. tysiąca osób), po nagłej ucieczce Ceaușescu i jego żony helikopterem z Komitetu Centralnego w Bukareszcie w chwili, gdy do budynku wdarli się demonstranci – po tym wszystkim pojawienie się w telewizji Iliescu było w oczach społeczeństwa pierwszym wystąpieniem, które dawało nadzieję na uspokojenie sytuacji.

Rumuńska rewolucja, co do której historycy do dziś spierają się, na czym miałyby polegać jej rewolucyjny charakter, odnalazła w jego osobie swojego przywódcę – wcale adekwatnego, zważywszy na jej paradoksalne okoliczności. Fakt, że Iliescu był komunistą, wydawał się nieistotny w tym konkretnym momencie – gdy ciągle jeszcze brakowało pewności, czy rodzina Ceaușescu faktycznie utraciła władzę. Była to okoliczność o tyle kluczowa, że w państwie Ceaușescu linie „frontów” od dawna już nie przebiegały wzdłuż podziału: z jednej strony partia komunistyczna, z drugiej przeciwnicy komunizmu. Istotą podziału było natomiast nastawienie do osoby dyktatora rządzącego krajem od 24 lat. Pytanie brzmiało: kto popiera Ceaușescu, a kto jest jego przeciwnikiem? Od dawna nie pytano już o to, z jakich przyczyn ten czy ów jest przeciwko Ceaușescu – w kraju powszechnej rozpaczy i kolektywnej bezsilności wszystko koncentrowało się na jednym: na obaleniu tyrańca i jego potwornej małżonki.

## Dyktatura klanowa

W 1989 r. Rumunia była dyktaturą dwojakiej natury. Z jednej strony dyktaturą komu-

## KIEDY POPOŁUDNIEM 22 GRUDNIA 1989 W PAŃSTWOWEJ TELEWIZJI POJAWIŁ SIĘ ION ILIESCU –

FUNKCJONARIUSZ RUMUŃSKIEJ PARTII KOMUNISTYCZNEJ, WEWNĄTRZPARTYJNY PRZECIWNIK NICOLAE CEAUȘESCU – WIELU TELEWIDZÓW ODETCHNĘŁO.

RICHARD WAGNER

nistyczną, opartą na typowych totalitarnych fundamentach bolszewizmu. Z drugiej zaś bałkańską dyktaturą rodzinną – i jako taka posługiwała się komunizmem dla utrzymania władzy przez dominujący klan. Rządząca rodzina Ceaușescu praktykowała otwarcie nepotyzm i politykę klientelizmu; struktury partii komunistycznej stały się swego rodzaju „okienkiem” w urzędzie, przy którym jej członkowie mogli załatwiać rozmaite sprawy. Różnica między rozwojem sytuacji w Rumunii i w innych krajach „bloku” polegała również na tym, że w Rumunii – po krótkim epizodzie „otwarcia” w latach 60. – nastąpiła restalinizacja; zapoczątkowały ją tzw. tezy lipcowe, wygłoszone przez Ceaușescu w 1971 r. i zapowiadające zaostrzenie kontroli państwa nad kulturą. Restalinizacja miała wzmocnić władzę Ceaușescu i jego klanu oraz stworzyć instrumenty dla kultu jednostki. W 1989 r. Rumunia przypominała Albanię, nie Węgry.

Ceaușescu posługiwał się partią (od 1965 r. był jej sekretarzem generalnym, a od 1967 r. także prezydentem kraju), ale jej nie ufal. W końcu sam był kiedyś szefem jej

kadry, a w latach 50. doświadczył walk między różnymi frakcjami. Już jako dyktator, struktury partyjne postrzegał nawet jako zagrożenie: instrument, którym mogłoby posłużyć się jego przeciwnicy, a w każdym razie jako miejsce, z którego – za sprawą partyjnych statutów – mogłyby wypłynąć impulsy kwestionujące jego osobistą pozycję.

Jego przeciwnicy, ci pierwsi, wywodzili się zresztą z partii. Byli stalinistami: protestowali przeciw włączeniu przez Ceaușescu elementów nacjonalizmu do oficjalnego kanonu rumuńskiego komunizmu. Protestowali też przeciw jego polityce uniezależniania się od Moskwy; krytykę Kremla, od której Ceaușescu nie stronił, a zwłaszcza jego odmowę udziału w inwazji na Pragę Wiosną w 1968 r. uważali nie tylko za afront wobec ZSRR, ale też za zdradę idei komunizmu. Młodszy od nich Ceaușescu, który – podobnie jak wielu jego akolitów z nowego pokolenia rumuńskich działaczy – reprezentował mieszaną ideę bolszewickich z hasłami nacjonalistycznymi, wydawał im się zdrajcą komunistycznej Międzynarodówki.

## „Wódz”, partia i Securitate

Ceaușescu osłabił pozycję Rumuńskiej Partii Komunistycznej w strukturach państwa w ten sposób, że otworzył ją na szersze kręgi społeczeństwa. Dla wielu legitymacja partyjna stała się przyciskiem otwierającym różne drzwi – i niczym więcej. Z legitymacją partyjną można było zostać dyrektorem fabryki butów i następnie wymienić te buty na, powiedzmy, ryby. Można też było założyć podejrzany krąg literacki, jak ja uczyniłem.

Partia przestała być w totalitarnym społeczeństwie elitą. Stała się organizacją masową, związkiem zawodowym nomenklatury, tej dużej i malej, tej centralnej i lokalnej, pomagającym przetrwać w warunkach gospodarki permanentnego niedoboru. Charakterystyczne dla technik stosowanych przez Ceaușescu, mających zneutralizować partię jako miejsce, które mogłoby wydać jakiegoś konkurenta, było też powiększanie liczności jej gremiów, Biura Politycznego i Komitetu Centralnego, tak że nie mogły przeciwstawić się „wodzowi”. Były zbyt wielkie, a zarazem zbyt rozbite na frakcje i klany, by mogły wyłonić większość zagrażającą Ceaușescu.

Nie ufając partii i neutralizując ją, dyktator opierał się zarazem na „klasycznych” instrumentach dyktatury. Nie tylko rozbudował aparat represji i nadzoru, ale pozostawiał mu pewną swobodę działania – równocześnie podporządkowując go organizacyjnie sobie i tylko sobie. Inaczej niż w innych krajach „bloku” – gdzie aparat terroru i inwigilacji traktowany był jako „zbrojne ramie partii” – w Rumunii tajna policja (Securitate) była wprawdzie formalnie zależna od partii, ale faktycznie słuchała tylko „wodza”. Ceaușescu opierał swą władzę na Securitate. Ale koniec końców i ona go porzuciła.

## Front w miejscu Partii

W 1989 r. partia rozplynęła się, jak gdyby nigdy jej nie było. Liczyła na koniec 4 mln członków (na 23 mln mieszkańców kraju), lecz prawie nie było wśród nich komunistów. Zniknęła z dnia na dzień: po prostu, 30 grudnia 1989 r. Iliescu wydał zakaz działania wszelkich organizacji komunistycznych.

Gdy wcześniej, tamtego 22 grudnia, Iliescu pojawił się na ekranach telewizorów,

przedstawił społeczeństwu nowy instrument władzy: Front Ocalenia Narodowego. Odczytał listę z nazwiskami tych, którzy w latach 80., w ostatnim okresie rządów Ceaușescu, mieli być nastawieni krytycznie do reżimu, i oświadczył, że ci ludzie są od teraz członkami nowego politycznego gremium przywódczego. Po prostu – mianował ich. Potem okazało się, że nawet nie zapytał poszczególnych osób. Zresztą, jak miałyby to uczynić w sytuacji chaosu?

Kto tworzył Front? To też proste: stał się on adresem, pod który zgłaszali się wszyscy ci ze starego aparatu, którzy chcieli być w nowym aparacie (centralnym czy lokalnym). Za kulisami demonstracji, których przebieg do dziś nie jest wyjaśniony, dokonywały się negocjacje, przesuwanie krzesel, zmiana hasel, działania osłonowe i dostosowawcze. Na faktyczną rewolucję nie było już czasu.

Front został pomyślany jako prowizorium, czynnik zachowania porządku, a zarazem jako schronienie. Jego przywódcy chcieli początkowo kontynuować system jednopartyjny (z Frontem w miejscu Partii). To okazało się nierealistyczne w kontekście rozwoju wydarzeń w Europie Środkowej. Z geopolitycznego punktu widzenia Rumunia okazała się kosztą domina; szybko rozległy się w społeczeństwie głosy, domagające się systemu wielopartyjnego, i tu na plan wkroczyli pierwsi założyciele nowych partii. Tendencji nie dało się zatrzymać, postanowiono więc się do niej dostosować. Pojawiły się informacje o pierwszych rywalizacjach w szeregach Frontu, wybuchły konflikty między grupami interesów, zwłaszcza na tle reformy państwa i prywatyzacji. Doszło do podziałów.

## Nowa fasada, stare kulisy

Patrząc dziś na dynamikę systemu partyjno-politycznego w Rumunii, łatwo można dostrzec, że dwa z trzech wielkich bloków politycznych wywodzą się z Frontu i do dziś są dziedzicami „fenomeny czterech milionów”, ze wszystkimi tego konsekwencjami, zależnościami i układami. Starą klientelę przypisuje się dzisiejszym socjaldemokratom (partia Iliescu) oraz, w równym zresztą stopniu, liberalnym demokratom, partii aktualnego szefa państwa, populisty Traiana Băsescu. Jedynie trzecia główna siła wywodzi się z tradycji narodowo-liberalnej, choć i ona ma w swych szeregach odpryskowe grupy, których korzenie sięgają klientelizmu sprzed 1989 r.

Partia komunistyczna zniknęła, ale mechanizmy „fenomeny czterech milionów” przetrwały. Inne są dziś tylko legitymacje partyjne. Oczywiście, Rumunii nie grozi powrót bolszewizmu. Ale co jej zagraża, to słabe zakorzenienie demokracji. Rumuński komunizm mógł funkcjonować bez komunistów i również rumuńska demokracja mogłaby funkcjonować bez demokratów – tylko że wtedy byłaby jedynie nową legitymacją dla współczesnego klientelizmu. ♦

## PRZEŁOŻYŁ WP

→ RICHARD WAGNER (ur. 1952 w Lowrinie w Rumunii) jest pisarzem. W środowisku mniejszości niemieckiej założył wraz z przyjaciółmi niezależną literacką Grupę Banat (należała do niej Herta Müller, wówczas jego żona). Objęty zakazem pracy, w 1987 r. wyemigrował do RFN. W Polsce ukazały się jego powieści „Czas Marsa” i „Miss Bukaresztu”.

OGŁOSZENIE